

I JAK TO CZŁOWIEK SAM SIEBIE NIE ZNA

Kiedy ta najładniejsza przy sąsiednim stoliku nie zdołała już powstrzymać łez i popłynęły jej lśniącem strumieniem po twarzy, Antoni Garbica uśmiechnął się ironicznie. Pochylił się niżej nad swą kawą, aby nikt tego nie zauważył. Na szczęście w kawiarni przed południem było pustawo, a senną ciszę zakłóciły dopiero te trzy podfruwajki.

Wbiegły tu przed chwilą, stukocząc hałaśliwie obcasami, roześmiane, rozświergotane dziecinnymi jeszcze głosikami i zajęły stół obok niego. Zaraz zaczęły zażarcie dyskutować, na co która ma smak. Garbica z ciekawością badacza zerkał ukradkiem ku nim, ale omiotły go spojrzeniem, jakby go wcale nie było, i zagadane pochyliły się ku sobie.

Lubił wpadać do tej kawiarni w przerwie zajęć ze studentami. Odpoczywał w kojącej ciszy. Tu mógł wreszcie porozpinać marynarkę, która choć lniana, w te upały i tak grzała. Dzisiaj te trzy spokój kawiarni zburzyły. Zerkał ku nim ukradkiem znudzony, bo to było coś nowego w panującej tutaj atmosferze. Szeptaly coraz donośniej. Tylko ta najładniejsza mało się odzywała. Jej twarz przypominała kształtem poziomkę, ale jeszcze niedojrzała, błądą, a całą czerwień skupiły usta, małe, nadąsane, całkiem jak wisienka. W białej bluzce wyglądała dziecinnie. Tylko ciemne włosy, opadające bujnie na plecy, zdradzały świadomą kobiecość.

Wypił kawę, a że miał jeszcze chwilę czasu, nie kwapił się z odejściem. Z sąsiedniego stolika docierały strzępy zdań o egzaminach wstępnych, niesprawiedliwości i pechu. „Żeby zostać aktorką, trzeba się w czepku urodzić” – usłyszał w pewnej chwili, ale dalszy ciąg wsiąkł w szmer dziewczęcego szczebiotu. Próbowaly do szkoły aktorskiej – pomyślał – tam teraz egzaminy. Nastawił uszu. Kelnerka przyniosła im na tacy pucharki z kolorowymi lodami, z których

sterczały barwne parasolki. Pochyliły się nad nimi i tylko od czasu do czasu pokrzykiwały z zachwytem:

- Ojej, wspaniałe połączenie mięty i czekolady!
- Super! Ale skosztuj wiśniowego z rumem!
- Lepiej! Marakui!

Pokrzykiwały, chichotały, a Garbica nie po raz pierwszy uświadomił sobie, jak obce mu są wszelkiego rodzaju miękkości, przynależące do świata kobiecego, te chichoty, sentymenty, sekrety urody, falbanki, koronki. Określał je krótko jako „zawiłości życiowe”, bo to wszystko niewymierzalne, nieobliczalne, niewiarygodne.

Koledzy, uszczęśliwieni posiadaniem u swego boku pięknej dziewczyny, okupują takie szczęście koniecznością towarzyszenia jej na zakupach. Narzekają, że to przerasta wszelakie wyobrażenie, gdy wybranka biega w zachłannym podnieceniu wokół półek sklepowych, przebierając w szmatkach, łątkach, fataląszkach, pudełeczkach, słóeczkach, buteleczkach – kremów, perfum. On sam wyczuwa w kobietach coś groźniejszego, czego nie jest w stanie pojąć, i tego się boi. Wydaje mu się, że w każdej niewieście strasznie dużo zawiłości. Ot choćby: zapytana o drogę kobieta z reguły, mówiąc: „to na prawo”, wskazuje ręką w lewo. Tak, one mają zupełnie inną logikę, inny system pojęć, nieprzystający do męskiego.

Jego natomiast świat jest prosty i wymierzalny. Przyczynowo-skutkowy, gdzie określony bodziec powoduje przewidywalną reakcję. I zawiera się cały w przestrzeni umysłowej. Są tu doświadczenia naukowe i sprawdzalne eksperymenty, nad którymi pracuje w laboratorium. Jest też tu miejsce dla sfery duchowej, związanej z mistyczną stroną życia. Dla przeżywania dobrej powieści, obrazu w muzeum, muzyki. I majestatu przyrody podczas wspinaczki w góry.

Ocknął się z rozmyślań, bo te trzy przy stoliku obok znowu się niemilosiernie roztrajkotały. Tylko ta najładniejsza milczała. Pochylała głowę w osłonie długich włosów, coraz niżej i niżej. Nagle wyszarpnęła z kieszeni chusteczkę i wytarła coś koło oczu. Pozostałe patrzyły w nią bezradnie. Usiłowały coś perswadować i wtedy po jej twarzy sypnęły się lzy, niczym zerwane korale. Zanim je starła, zabłysły w promieniach słońca od okna.

– Ola, coś ty?! Masz tyle innych talentów, tyle szans. . .
– Zdasz następnym razem. . .
– Nigdy więcej!! – oburzyła się poprzez łzy. – Nigdy więcej
bezsensownych prób!

Pocieszały ją jedna przez drugą, nie dbając, że zwracają na siebie uwagę.

– Widzisz, Ola, ja w lipcu spróbuję na polonistykę.
– Teraz mi głupio – odezwała się trzecia, o rysach mocno ekspresyjnych – że mnie się udało. Nie jestem tak zdolna jak ty, ani tak ładna. Widać potrzebują charakterystycznych. . .

„Nie zdała egzaminu” – pomyślał z satysfakcją Garbica. Zaraz zawstydził się swej zawziętości. Trudno, nie przepadał za takimi pięknotkami, co marnują czas przed lustrem. Tylko intrygowało go, co one w sobie mają, że tylu traci dla nich głowy. Miał teraz okazję przyjrzeć się takiej z bliska. Udawał, że nie patrzy, a raz po raz coś ciągnęło wzrok w tamtą stronę.

Jego takie nie interesują. Ceni wyłącznie intelektualistki, a takich nie za wiele. Jedną jednak wypatrzył. Halinka spełnia te oczekiwania. Z nią zawsze jest o czym pogwarzyć. On sam, badając tajemnice mózgu, tego siedliska inteligencji, właśnie inteligencję człowieka ceni nad wszystko. Natomiast o czym tu rozmawiać z dziewczyną tylko ładną?

Koledzy mu docinają, że najładniejsze studentki mają u niego przechlapane. Niekoniecznie! Czasem postawi takiej stopień może ciut zaniżony, ale to z obawy, że a nuż chciał ją ocenić zbyt wysoko, bo przy takiej urodzie i odpowiedź wydaje się lepsza. Za to gdy wypatrzy u takiej luki w wiadomościach, oblewa ją z całą satysfakcją! Tym większą, gdy piękne oczy takiej wpatrują się w niego błagalnie, nawet kusząco. Nie wierzy im! Niech się uczy, zamiast przestawać przed lustrem! Dlatego koledzy pokpiwają, że mści się za brak u takich szans. I tak nie mają pojęcia, co on wyczytuje z oczu wpatrzonych w niego podczas zajęć studentek. Takie z gorącości serca skłonne są każdego obdarzyć afektem. On to dobrze wie i pozostaje niewzruszony.

Gdyby się miał za bardziej przystojnego, nie był taki długi i chudy jak tyka, a co gorsza – rudy, jego filozofia życia byłaby

inna. W dodatku te rudawe włosy nie dają się ujarzmić i sterczą niesforenie jak stara szczotka ryżowa. Ale rozczulać się nad swą aparycją to niemęskie. Dla niego najważniejsze są walory umysłu. Inteligencja, czytanie, wiedza, polot w myśleniu. W szkole nauka przychodziła mu bez trudu. Rodzice marzyli, że zostanie lekarzem. Osobistością cieszącą się w małym mieście największą estymą. Ale jego zafascynował mózg ludzki – jako siedlisko inteligencji – i to uczynił przedmiotem swych badań na całe życie. Rodzice nawet nie bardzo wiedzą, jak się tym pochwalić znajomym, bo nie każdy pojmuje, o co chodzi. Za to jego uparcie zakuwający brat będzie niedługo chirurgiem, a siostra już pracuje w aptece na rynku jako pani magister. Nimi mogą się rodzice popisywać.

A on wciąż ma życie nieulożone. Ale wie, co robi, jak tylko obroni doktorat. Pójdzie z Halinką dać na zapowiedzi. Tak się to chyba mówi, bo o tych wszystkich ceregielach pojęcie ma blade. Bywa od czasu do czasu na ślubach kolegów i nawet dobrze się bawi. Obserwuje uważnie, jak wychodzącą z kościoła parę młodych obsypują groszakami albo płatkami róż. Pod domem czekają na nich z chlebem i solą. Pan młody z werwą porywa swą świeżo poślubioną na ręce i przenosi przez próg, a czasem aż na piętro. Gdzieniedzie hołdują zwyczajowi, że para młodych po pierwszym toaście wyrzuca kielichy do tyłu, żeby się potłukły na szczęście. Potem wszyscy jedzą, piją, tańczą i pokrzykują ochoczo co i raz: „gorzko, gorzko”, a wtedy para młodych musi się całować tak, żeby wszyscy widzieli. Zwykle pod koniec wesela panna młoda rzuca za siebie bukiet ślubny i ta dziewczyna, która go złapie, zgodnie z wróżbą ma być następną na ślubnym kobiercu. W tym też celu młody rzuca chłopakom swój ślubny krawat. Antoni zwykle, jako wolny, był wypychany na środek do grona łapiących krawaty kawalerów, ale robił uniki, żeby nie złapać. Ciarki go przechodziły na samo wyobrażenie siebie w roli głównej takiej ceremonii.

Na razie oboje z Halinką nie spieszą się z nazywaniem ich zażyłości narzeczeństwem. Trochę peszy go jej rodzina ze staroświeckimi pretensjami do wielkopańskości. Wie, że zanim wystąpi o prośbę o jej rękę, powinien osiągnąć pozycję, która by im zaimponowała. W tym mieście, jak się do niedawna mówiło, trzeba być co najmniej

docentem, a teraz to pewnie już profesorem. Dlatego rodzina Halinka bacznie się mu przygląda. Tylko ona rozpromienia się na jego widok. Bywa u niej od kilku miesięcy. Najpierw odprowadzał ją pod dom, gdy wracali z wyprawy w góry. Ostatnio zagoniony przed obroną doktoratu zrezygnował z takich wypadów, więc zachodzi do niej porozmawiać.

Dobrze mu z nią. Przy niej można zapomnieć o zagrożeniu terroryzmem czy ptasią gripą, o wojnie w Iraku. Nawet o wrednych wypowiedziach osobników podsycających wrogość wśród ludzi. Ma powyżej dziurek w nosie inwektyw, że ci to moherowe berety, a tamci. . . coś tam znowu. Halince może się zwierzyć z wszelakich strapięń, a ona wszystko logicznie rozważy i znajdzie rozwiązanie. I pociechę. Jest bardzo mądra. I bez reszty oddana innym. Z wielkim oddaniem zajmuje się dziećmi głuchymi, które uczy. Styka się na co dzień z ludzką niedolą i dlatego jest bardzo poważna. Chwilami aż smutna.

Postara się ją kiedyś rozweselić. Tylko on nie z tych, co piszą wiersze dla swej bogdanki. Poważni ludzie inaczej to przeżywają. Wystarczy pewność, że to ze wszech miar odpowiednia kandydatka. Dużo znaczy mieć takie poczucie.

Ocknął się z zamyślenia, gdy kelnerka sięgnęła po jego pustą filiżankę i zaczęła ścierać blat. Spojrzał na dziewczyny przy sąsiednim stoliku. Dalej pochylały się nad płaczącą. Pocieszały ją, osłaniając przed oczami postronnych.

Zapłacił za kawę, ale nadal siedział. Nagle poderwał się. Zapiął energicznie guzik marynarki i ruszył. Tylko zamiast do wyjścia, zrobił krok do stolika dziewczyn, sam tym zaskoczony. Przedstawił się, napomknął, że pracuje na uczelni i nie może dopuścić, żeby studentka płakała. Nawet taka „in spe”, to znaczy: taka. . . dopiero. . . w przyszłości. Zaproponował, że odwiezie je taksówką.

Wpatrywały się w niego wielkimi ze zdumienia oczami i zaraz pokraśniały entuzjazmem.

– Naprawdę??? Naprawdę w tym nieprzychylnym mieście jest ktoś, kto chciałby pomóc?!

Łzy na twarzy płaczącej obeschły w jednej chwili.

Szkopuł w tym, że nie bardzo miały dokąd wrócić. Przyjecha-

ły na egzaminy wstępne. Wyjaśniały to nieskładnie, przekrzykując jedna drugą, a on stał nad nimi bardzo ważny, a w duszy przerażony i zły na siebie, że dał się ponieść głupiemu impulsowi szlachetności, a za pół godziny ma następne ćwiczenia ze studentami. Co gorsza, być może zalatuje od niego formaliną, bo cały dzień grzebie w preparatach pociętego na plasterki mózgu. Taka informacja by te dziewczyny odstraszyła. Jeszcze by pomdlały. Czuł, jak spojrzenia całej kawiarni wbijają mu się sztyletami w plecy. Przycupnął więc na wolnym krześle, a one dalej tłumaczyły, że dzisiaj muszą się wynieść z akademika, a wracać do siebie po niepowodzeniu niełatwo. Jedna wprawdzie zdała, lecz w poczuciu solidarności nie śmiała triumfować.

Spojrzał na zegarek. Czas naglił, a on czuł spojrzenia całej kawiarni, gotowe wyśmiać go jako niezręcznego podrywacza. Ale było za późno. Jak on – człowiek kierujący się we wszystkim logiką – mógł tak zboczyć w regiony niezrozumiałe i zawile. Jak to człowiek sam siebie nawet nie zna – przeleciało mu przez głowę – i nie wie, do czego zdolny.

Dziewczyny milczały, patrząc w niego wielkimi ze zdziwienia oczami. Ta o twarzy jak poziomka powoli rozkwitła pełnym otuchy uśmiechem i rozbłysła. To był uśmiech jak kwiat zakwitający raz jeden, jak błyszcząca gwiazda, jak obietnica wszystkiego najwspanialszego.

– Mam na imię Ola – oznajmiła. – Właściwie nawet Olena, ale wolę zwyczajniej: Ola.

Wpadła na pomysł, że koleżanki wrócą do akademika po rzeczy, a ona do czasu odjazdu pociągu popatrzy sobie na życie uczelni.

Wyszli. Do instytutu, gdzie prowadził zajęcia z anatomii, było niedaleko. Dlatego w przerwach między zajęciami mógł wyskoczyć do kawiarni. Ale na tej trasie mógł spotkać kogoś z uczelni. I studentów. Jak by się wytłumaczył z obecności u swego boku tej dziewczyny? Zbyt ładnej, żeby do niego pasowała. Poprowadził więc ją dłuższym szlakiem, gdzie gubili się w tłumie przechodniów.

II MOTYL NA KORYTARZU

Szybko postukiwała obok niego butami na wysokich obcasach. Niepokoił się, że przyciąga tym powszechną uwagę, że wszyscy na nich patrzą. Nigdy chyba nie szedł w towarzystwie takiej dziewczyny. Narastała w nim złość. Przestał dbać, czy za nim nadąża. A niech robi co chce. Przecież nie zabierze jej do laboratorium na ćwiczenia ze studentami! Dopiero byłaby sensacja! Niby niepozorny, rudy, oddany nauce, wróg głupiutkich piękności, a tu patrzcie! Nie patrzył w jej twarz. Bał się jej śmiechu.

Weszli w bramę od podwórka, którą ocieniały zielone pnącza wina. Laboratorium anatomii znajdowało się na piętrze. Musiał zostawić dziewczynę na korytarzu.

- Chce pani tu czekać? Może lepiej wrócić do akademika?
- Upadłabym za bramą.
- Źle się pani czuje? Za szybko szedłem?
- To z nadmiaru wrażeń – odparła znużona.
- Na ćwiczenia z anatomii mózgu pani nie zabiorę. Dziś kroimy mózg. Ludzki!

Spojrzała z zaciekawieniem. Wcale jej ta informacja nie przerażała, ale nie miał czasu na pogaduszki. Pod drzwiami laboratorium sterczała już grupa studentów. Ola usiadła na ławce z dala od innych. Wszystkie twarze odwróciły się ku niej, jak słoneczniki do słońca. Była tu nieznaną i do tego taką, co przyciąga wzrok. Z ociąganiem podnosili się, by wejść na salę ćwiczeń. Dziewczęta ukradkiem lustrowały postać Oli, ale ona spuściła głowę i zdawała się nie widzieć nic, nie słyszeć. Drzwi sali się zamknęły. Została sama. Garbica miał nadzieję, że znużona czekaniem pójdzie sobie. Nawet nie wiedział, po co miałyby na niego czekać. Zapomniał o niej, skupiony nad objaśnianiem poszczególnych płatów, bruzd, spoidel i ośrodków nerwowych w przekroju mózgu. Demonstrował

preparaty, rysował je na tablicy różnymi kolorami kredy i nazywał po łacinie: girus rectus, lemniscus medialis, lateralis... Kiedy studenci pochylili się nad ich przerysowywaniem, wyjrzał na korytarz. Poszła?

Siedziała. Uparcie, bez ruchu. Oczy miała przymknięte. Otworzyła je, słysząc kroki. Rozpromieniła się. Spojrzała na biały fartuch, jaki zakładał w laboratorium.

– Trudna ta anatomia?

– Niekoniecznie. Trzeba tylko rozumieć, jak to razem funkcjonuje, co od czego zależy, z czym się w swym przebiegu łączy i zapamiętać nazwy łacińskie – wtedy wszystko proste jak drut.

– A ja najbardziej kocham grać na pianinie. I śpiewać. Występuję w naszym teatrze. Amatorskim. Dopiero tutaj tamto wydaje się okropnie banalne.

Poradził, żeby zeszła na dół do klubu studenckiego. Pokręciła głową. Będzie czekać, a przy okazji przyjrzy się życiu na uczelni. Zaśmiał się.

– Z zamkniętymi oczami?!

– Nawet tak można wiele wyczuć! Ja słyszę i czuję więcej niż inni! Czasem wydaje mi się, że słyszę nawet zapach trawy.

– Czuję – poprawił. – Czuję zapach.

– Nie, ja naprawdę słyszę! To znaczy niezupełnie tak. Ale to coś więcej niż tylko czuć zapach. I ja tak we wszystkim.

– A trawa chociaż pachnie? – spytał rozbawiony. – Pewnie jako siano.

– Dla mnie – pachnie. Nawet ta zielona.

Przyjrzał się jej uważnie, ale nie rzekł nic i powrócił do sali ćwiczeń, skąd dolatywał już szum. Chyba ta dziewczyna nie będzie go prześladować do końca zajęć? – dumął. Koleżanki dostarczą jej багаż i odjedzie.

Ku jego zaskoczeniu – czekała niestrudzenie. Studenci przyglądali się jej z zaciekawieniem. Jej granatowa spódnica w grochy rozkładała się szeroko fałdami. Biała bluzka zdradzała początkującą. Takie onieśmiałe biedactwo z prowincji. Mocno sfrustrowane po klęsce na egzaminach wstępnych. Zatopiona w myślach, zdawała się nikogo nie widzieć. Nie reagowała na uśmiechy, pochlebne słów-

ka. Jej widok Garbicę irytował. Lecz zarazem i wzruszał. Coś go zmuszało, by się nią zaopiekował. To jeszcze bardziej go irytowało, bo nie chciał. Ale cały czas podczas zajęć czuł, że za drzwiami czeka na niego coś ogromnie kolorowego, coś niezwykłego, czego dotychczas nie spotkał.

Gdy za którymś razem uchylił drzwi na korytarz, dostrzegał w miejscu, gdzie siedziała, tłumek chłopaków. Usłyszał też jej śmiech. Śmiała się głośniejsz od wszystkich!/? Ona to była? Czy nie ona? Zbliżył się. Ucichła przestraszona, a otaczający rozpięchli się. Spojrzała ku niemu zalotnie, jakby ten rys nie zdążył jeszcze zgasnąć, i z powrotem posmutniała.

„Dziwne – pomyślał – raz ona taka, raz zupełnie inna. A jaka jest naprawdę?” Ćwiczenia coraz bardziej mu się dłużyły. Stawał się roztargniony. Coś go cieszyło niepomierzenie i zarazem stanowiło źródło zakłopotania, a skupiało się tam za drzwiami, na ławce pod oknem. Trudno mu było wsłuchiwać się z uwagą w odpowiedzi studentów. Zaczęły plątać mu się dendryty z neurytami, receptory z efektorami, nie żeby nagle zgłupiał, ale wszystko zdawało się być jak za oddaloną zasłoną. Przestraszył się, że studenci coś zauważą, więc wspaniałomyślnie wybaczał niedokładności w ich wypowiedziach i zlecił ciche zajęcia nad porównywaniem preparatów.

„A niech tam – myślał – jeśli się teraz nie przyłożą, braki w wiadomościach wyjdą, jak przejdą do analizy dróg czuciowych”. Zawsze był na zajęciach zasadniczy i dokładny. Dziś – patrzył na zegarek, ile jeszcze do końca.

Znowu nie słyszał, co mówi chłopak o wielkiej kędzierzawej czuprynie, ale on zazwyczaj mówi mądrze. „Ola – myślał Antoni jakie to ładne imię”. W przerwie na papierosa znowu wyjrzał za drzwi. Czekająca. Podniosła na niego oczy zdziwione, nieprzytomne, jakby budziła się ze snu. Widać znużona czekaniem zapadała w stan pół snu, pół jawy. Po co więc czekała? On sam by już z dziesięć razy poszedł sobie i wrócił, przeczytał z dziesięć książek, a w ogóle nigdy by się nie zgodził na takie marnotrawstwo czasu. Rozczuliła go swą powolnością. I tym, co wspomniała o swej nadwrażliwości: że słyszy zapach trawy.

– No, jeszcze z pół godziny i będę wolny – powiedział, a ona wyszeptala błagalnie:

– Chciałabym zobaczyć, co tam za drzwiami... Wcałe nie zemdleję... Proszę...

Pozwolił. Przycupnęła w ostatniej ławce z dala od wszystkich. „A więc tak wygląda prawdziwy mózg – myślała – tylko ten zapach wkoło przykry”. Starala się jak najmniej oddychać, lecz była dumna, że znalazła się w zupełnie innej rzeczywistości. Kolorowa tablica na ścianie koło niej przedstawiała coś jakby olbrzymiego, kolorowego motyla. Ach, przekrój rdzenia kręgowego! – zorientowała się, przeczytawszy podpis. Zaciekawiona spoglądała na nieznaną jej aparaturę, jakieś preparaty w oszklonych szafkach, rysunki odsłoniętych mięśni, to kości, prawdziwe szkielety i modele. Wszystko tu intrygowało!

Wychodząc po chwili, czuła się zupełnie kimś innym. Kimś, komu dane było na moment dotknąć tajemnicy życia. Owa tajemnica skojarzyła się jej z rojami motyli. Nieważne, że były to rysunki systemu nerwowego. Ona nie odbierała tego rozumem, ale zmysłami wyczulonymi na urodę świata. Teraz dojrzała tego świata jeszcze jeden aspekt i to ją zachwyciło. Była wdzięczna temu starszemu panu, który umożliwił poznanie tego. „On chyba ma ze trzydzieści lat, albo i więcej” – myślała. Tak, na pewno więcej. Dla niej jest tak stary, że czuje się przy nim jak przy ojcu. Taki nie będzie jej, maturzystki, podrywał.

A Antoni Garbica, nieświadom, że mogła go uznać za aż tak starego, zdjął biały fartuch i usiłował niecierpliwie zmyć z rąk zapach formaliny. Wreszcie stanął znów przed Olą.

Chwilę patrzyła, jakby go nie widziała, zatopiona w myślach, albo tak zmęczona, że aż senna.

– No, jak się czujemy? – spytał z niepokojem. – Nie mdlejemy?

– Podobały mi się te motyle na ścianach.

– Jakie motyle??

– No, rysunki przekroju rdzenia kręgowego... tak kolorowo pokazane...

– Ach, to. To dziwne. Mnie się pani też cały czas kojarzyła

z czymś niezwykle kolorowym i dopiero w tym momencie pojąłem, że to motyl. Jaki dziwny zbieg skojarzeń.

Roześmiała się i pobiegła pierwsza schodami w dół, postukując głośno obcasami. Uświadomił sobie ze zdziwieniem, że ten głośny werbel otacza każdą piękną kobietę. Dotąd tego nie zauważał. Wiedział, że wokół takiej unosi się woń perfum. Że twarz, talia, nogi, przyciągają wzrok, ale nie zwrócił dotąd uwagi na towarzyszący takiej rytm – wystukiwanych wysokimi obcasami – kroków. Naprawdę niczym zwycięski werbel. Po raz pierwszy to sobie uświadomił. I to on, człowiek nauki, ceniący najbardziej przymioty umysłu i ducha, mający już – było nie było – blisko dwadzieścia siedem lat i doktorat na ukończeniu.

Zrównał się z nią i idąc tak, pokrzykiwał ochoczo na lewo i prawo powitania. Machał ręką z daleka nawet do tych, którym dotychczas ledwie oziębłe kiwał głową albo mijał obojętnie.

Opowiadał Oli o mijanych ulicach, o zabytkach. Wiele z nich znała, gdyż bywała tu nie raz, jako że mieszkała niedaleko, trzydzieści pięć kilometrów stąd, ale on lubił się popisywać erudycją. Cieszyło go zawsze, że wie więcej od innych. Lubił się też wiedzę dzielić. Ofiarowywać innym to coś najbardziej cennego. Nie przychodziło mu nigdy do głowy, że kogoś zanudza, że wzbudza zawiść, gdy popisuje się mądrością.

Dziś musiał mówić cokolwiek, byle mieć pretekst do zatrzymania Oli. Radowało go, kiedy odrzucała do tyłu swe długie, brązowe włosy, przymykała w słońcu oczy o długich rzęsach i szła na wysokich obcasach, miarowo nimi postukując. Patrzyła w niego z uwagą, tak potulna i oddana, jak potrzebujące opieki dziecko. Szła tam, gdzie prowadził. Nieustannie słyszał blisko siebie pośpieszny stukot jej obcasów i wybuchy jej śmiechu. „Ognik – pomyślał. – Żywiołowy, migotliwy ognik”. A po chwili uzupełnił: „Tylko żeby się za szybko nie wypalił”.

Dotąd nie spotkał tak kruchej osoby, wymagającej takiej tkliwości. Z bratem, nawet siostrą, raczej rywalizował, kto silniejszy, mądrzejszy, kto wyżej wyspina się na drzewo, wygra w szachy. Halina sama opiekowała się w pracy dziećmi głuchymi, a w domu starą matką, całą rodziną i niańczenia nie potrzebowała. Zauważył, że

przy Oli należy być szczególnie ostrożnym. Widok żebraka bez nogi wywołał na jej twarzy skurcz bólu. Podobnie, gdy napomknął coś o egzaminach wstępnych. Nawet się zląkł, że się na środku ulicy rozplacze.

Szybko pociągnął ją do najbliższej wystawy, a było to przed sklepem jubilera. Ożywiła się na widok błyszczących cacek. Zaczęła mu objaśniać, które pierścionki są godne uwagi. Jeden podobał się jej szczególnie. Ledwo rzucił tam okiem. Co w tym mogło być ciekawego? Sądził, że takie błyskotki tylko dla znudzonych hrabin z ubiegłego wieku. A tu Ola odkrywa mu nowe światy.

Przy następnym sklepie jubilera zaczął wyróżniać z tła precjoza, które ją tak zachwyciły. Chętnie by w tej chwili przyozdobił jej rękę takim klejnotem. Roześmiał się sam do siebie, dostrzegając własną śmieszność. Nie mógł być kimś wymarzoną dla tej dziewczyny, on – poważny naukowiec, neurobiolog, oderwany od spraw przyziemnych, do tego rudy i długi jak tyczka. A ona ładna i przesadnie wrażliwa.

Kiedy znowu przystanęli przed wystawą – ileż na tej trasie sklepów jubilerskich?! – poprosiła, aby mówił jej po imieniu.

– Proszę bardzo. Spróbuję. Widzi pani, widzisz – płatał się – przywykłem do moich studentek mówić na pani. Na uczelni dość ceremonialne zasady. . .

Urwał stropiony, czy i on ma pozwolić, by mówiła mu: „ty” przez te kilka godzin znajomości, zanim odjedzie? Ona jakby to wyczuła:

- Ja będę zwracać się na pan. . .
- Ależ mów mi Antek!
- To lepiej Antoni. . . Albo Anton.

Spodobało mu się to. „Anton”. Nikt tak go jeszcze nie nazywał. Podziwiał jej łatwość odnajdywania się w nowej sytuacji. On czasem nie wiedział, co w danej sytuacji począć. Nie lubił się wpasowywać w utarte formułki, konwenanse. Wolął je w roztargnieniu pogwałcać. Roztargnionemu uczonemu – myślał – niejedno ujdzie. Dlatego szybko zyskał przydomek: „profesor”. Trochę się tylko niepokoił, czy podoła ceremonialnym obowiązkom na czekającej go lada miesiąc obronie pracy doktorskiej. Zawsze współczuł

kolegom, biedzącym się podczas przyjęcia, jakie wypadało wydać dla przybyłych na obronę gości. Najgorzej, gdy taki nie miał przy sobie znającej się na rzeczy kobiety. Pewnej siebie i z inwencją. Ola wygląda na taką. Ale u jego boku będzie inna dziewczyna... Nie chciał o tym teraz myśleć.

Zresztą nie było na to czasu. Ola chyba głodna, on też, weszli więc do najbliższego baru. Zastanawiał się, czy nie powinien zaprosić jej do eleganckiej restauracji, ale mogłaby to odczytać jako coś wykraczającego poza przelotną znajomość. Przecież nie zabiega o jej względy. Nie musi dokładać starań, szpanować. Na wszelki wypadek spytał o to, ale odrzuciła taki pomysł. Zaraz wypatrzyła na tablicy omlet z groszkiem i tego sobie zażyczyła, płacąc od razu za siebie. On zamówił kaszę z gulaszem i kiszonym ogórkiem. Chciał, by wypadło to prozaicznie, bał się stwarzania nastrojów, które rozbudzałyby wyobraźnię, pociągały za sobą wspomnienia, chęć powrotu.

– Zaprowadź mnie do stolika – szepnęła – tak mi słabo, jakbym miała zemdleć...

Przytrzymał ją za łokieć, a ona szła krok przed nim nieco chwiejnie niczym lunaticzka. Trochę przestraszył się, a zrazem pomyślał z rozczuleniem, że ona pewnie tak z głodu i zmęczenia tyloma dziś wrażeniami. Do tego wynudziła się, czekając na niego tam na korytarzu pod laboratorium. I to ona, taka delikatna.

Odsunął jej krzesło i w tym momencie podniosła gwałtownie głos:

– Nie tyłem do sali!!

Wszyscy odwrócili głowy w ich stronę. Kiedy przycupnęła już na krześle, z widokiem na salę, zaczęła się usprawiedliwiać, że nie znosi kiedy za plecami coś się dzieje i nie wie co. Może ktoś tam się czai z nożem? Albo coś gorszego?

Roześmiał się, chcąc rozładować sytuację, ale twarz Oli znowu się skurczyła, jakby miała się zaraz rozplakać. Jeszcze by tego brakowało!

– Jesteś po prostu głodna – uspokajał ją, a że na omlet należało dłużej poczekać, przyniósł jej jajecznicę ze szczypiorkiem i bułeczki posypane makiem. Zaczęła dziobać ostrożnie widelcem po talerzu

– wyraźnie zmęczona – a po chwili z większym apetytem. Posilona rozjaśniła się uśmiechem. Skończyła i patrzyła, jak on pochłania swój gulasz z kaszą i kiszone ogórki.

– Lubisz to? – spytała.

– Co?

– Taką kaszę.

– Nie przykładałam uwagi do tego, co jem. Jest tyle ważniejszych spraw. A kasza ponoć zdrowa.

Szybko spuściła głowę. Dopiero po chwili oznajmiła:

– Imponuj mi, że wykładasz studentom. Stoisz nad nimi wysoko. Oni muszą się ciebie bać.

– Omlet! – rozległo się za nimi. Poderwał się go przynieść. Po drodze zabrał brudne talerze. Skosztowała wysmażonego na złoto omletu z górą zielonego groszku i na twarzy jej wykwitł wyraz rozkoszy.

– Anton, dziękuję ci za wszystko. Musisz przyjechać, zobaczyć nasz teatr w domu kultury.

Zgodził się, po raz kolejny zaskoczony: tym zaproszeniem i jej bezceremonialnością w mówieniu mu na ty, do czego nie przywykł. Dziwna dziewczyna – myślał – zaczyna nim rządzić, choć z osiem lat młodsza. Zapomni o zaproszeniu, zanim się pożegnają. Powinien wreszcie zakończyć to łażenie po mieście. Ma dużo roboty. I kolacja w akademiku mu przypadnie.

Kiedy wyszli z baru, zaproponował, że odwiezie ją na dworzec. Przyznała się, że zostanie do jutra. Chciała jeszcze położyć. Znowu więc pociągnął swe opowieści o bruku ulicznym, o gołębiach kręcących się tu wszędzie i o ważniejszych obiektach, jakie mijali. Wydawało mu się, że kiedy przestanie na moment mówić, ona odejdzie. Rytm jej kroków stawał się coraz wolniejszy.

Kiedy odprowadził ją pod akademik, powiedział zdawkowo:

– No to żegnaj. Może się jeszcze kiedyś spotkamy.

– Ależ jutro się zobaczymy! Z samego rana. Wyjeżdżam dopiero wieczorem.

Staął jak wryty. Nawet nie spytała, czy ma czas. Planował jutro wybrać się do promotora, popracować w czytelnii. Coś go jednak podkusiło i zgodził się na spotkanie.